CZWARTEK
Nr 101 25 VIII 1983 Cena 5 zł

ŚWIAT MŁODYCH

HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

Z czym do szkoły...?

Wakacje właściwie mamy już z głowy. Czas pomyśleć o szkole. Niektórzy bardziej zapobiegliwi są już być może dopięci na ostatni guzik przed pierwszym dzwonkiem. Książki i zeszyty czekają czyściutko obłożone, w teczce cała bateria kredek, ołówków i długopisów, gotowe są także kapcie, tenisówki i strój gimnastyczny. Myślę jednak, że to obrazek trochę wymarzony. Większość ma na pewno jeszcze przed sobą zdobywanie uczniowskiego ekwipunku. Co ich czeka?

Najbardziej szaro wygląda sprawa podręczników. W tym roku klasy III, VI i VIII mają je otrzymać bezpłatnie. Jak mnie poinformowano w Kuratorium Oświaty i Wychowania w Warszawie, jeszcze nie wszystkie szkoły otrzymały komplety podręczników. Drukarnie po prostu nie wytrzymują tempa. Brakuje także podręczników dla klas II i V, którym w zeszłym roku bezpłatnie rozdzielono książki. Po roku używania część z nich jest już tak zniszczona, że nie nadaje się do nauki. Często zdarzają się także przypadki zagubień. A przecież minimalny okres korzystania z podręcznika obliczony jest na 3 lata. Już w tej chwili potrzeba wielotysięcznych dodruków. Tymczasem drukarnie ledwo dyszą, a i w papier nie jesteśmy zbyt bogaci. „Szanujcie podręczniki" – ciśnie mi się pod pióro apel do szkolnej braci. A swoją drogą poligrafia mogłaby również zadbać o to, żeby książki były trwalsze, żeby miały twarde oprawy, żeby były zszywane, a nie były jak sklejane, żeby papier nie rozsypywał się po kilku dotknięciach.

Dyrektor Wydawnictw Szkolnych i Pedagogicznych mgr Helena Pańkowska uprzedziła nas, że z największym opóźnieniem trafi do szkół podręcznik do historii dla klasy ósmej, którego jeszcze właściwie nie zaczęto drukować. Być może dotrze on do uczniów dopiero na początku drugiego półrocza. Dlaczego? Były kłopoty z zatwierdzeniem książki przez Ministerstwo Oświaty i Wychowania. Lekkie opóźnienie mogą mieć także „Biologia", „Historia" i „Wychowanie muzyczne" dla klasy czwartej i „Przysposobienie obronne" dla klasy ósmej. Ale najpóźniej do października powinny już znaleźć się w szkołach.

Talonów na zeszyty w tym roku nie będzie! Czy to jednak oznacza, że skończyły się problemy z zaopatrzeniem? W sklepach papierniczych zdarza się, że zeszytów czasem brakuje, choć na ogół bywają, przynajmniej w Warszawie. Bywają także bloki rysunkowe i techniczne. Częściej niż w zeszłym roku można znaleźć kredki i ołówki, co nie znaczy wcale, że jest ich w bród. Ktoś obliczył, że w ubiegłym roku nie wypadało nawet po jednym ołówku na ucznia!

Biuro Obrotu Artykułami Szkolnymi i Sportowymi ZPHW zatroszczyło się także o import. Robiąc zakupy w „papierniku" można więc trafić na zeszyty z Rumunii, plastelinę, kredki, świecówki, gumki, piórniki z Chin, a tornistry z Czechosłowacji i Bułgarii. Niestety, kolejki w sklepach z przyborami szkolnymi (zwłaszcza w tych lepiej zaopatrzonych) wciąż jeszcze straszą swoimi rozmiarami.

Niech się uzbroją w cierpliwość także ci, którym potrzebne są tenisówki, stroje gimnastyczne i dresy. W Centralnej Składnicy Harcerskiej poinformowano mnie, że artykuły te są ogromną rzadkością i trafiają do sklepów w minimalnych ilościach. Póki co nie wyrzucajcie więc starych trampek, adidasów, szortów i koszulek. A nuż się jeszcze przydadzą...

Tymczasem szkoły czekają już na was ze zniecierpliwieniem. Po wyjeździe ostatnich grup kolonijnych trwają jeszcze drobne remonty budynków, sprzętu oraz generalne porządki, z którymi też coraz więcej hłopotów, bo brak pań woźnych.

Pomocy naukowych nie przybyło zbyt wiele, ponieważ trudno je zdobyć. Na przykład pani dyrektor Szkoły Podstawowej nr 38 w Warszawie przez całe wakacje poszukiwała bezskutecznie adapterów. Niestety, w całej Polsce można je kupić jedynie na kredyt dla młodych małżeństw... To samo dotyczy magnetofonów, telewizorów, odbiorników radiowych. „Czy nie przydałby się taki kredyt również dla szkół, do których chodzą lub będą chodzić dzieci młodych małżeństw?" – pyta rozżalona pani dyrektor.

Pierwszy dzwonek tuż tuż! Z naszej sondy przeprowadzonej w stolicy wynika, że przygotowania do rozpoczęcia roku szkolnego nie wyglądają różowo. A jak jest w waszych miastach i wsiach? Napiszcie o tym. Czekamy na listy.

JOLANTA ZDANOWSKA
Fot. **Jerzy Dzikowski**

W trzydziestolecie „Gawędy"

ŚPIEWNIK „ŚWIATA MŁODYCH"

Ballada o Starym Doktorze

Zamykająca nasz śpiewnik chwila refleksji, która pochodzi z najnowszego jubileuszowego programu „Gawędy"

Słowa:
Ryszard Marek Groński
Muzyka:
Włodzimierz Korcz

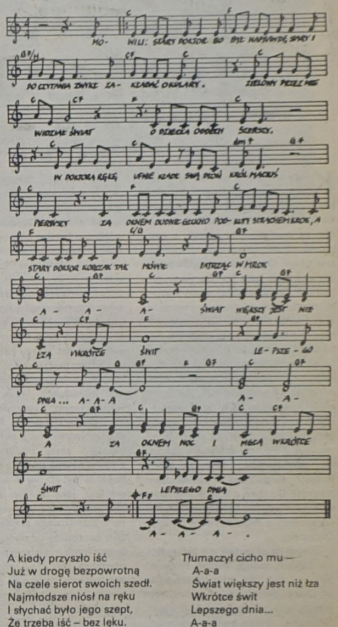

Mówili: Stary Doktor,
Bo był naprawdę stary
I do czytania zwykł
Zakładać okulary.
Zielony przez nie widział świat
O dziecka oddech szerszy.
W doktora rękę ufnie kładł
Swą dłoń Król Maciuś Pierwszy.

Za oknem dudnił głucho
Podkuty strachem krok,
A stary Doktor Korczak
Tak mówił, patrząc w mrok:

A-a-a
Świat większy jest niż łza
Wkrótce świt
Lepszego dnia...
A-a-a
Za oknem noc i mgła
Wkrótce świt
Lepszego dnia...

Mówili: Stary Doktor
Co ma mizdrzenicze siły
Bo chce by dzieci znów
Uśmiechu się uczyły.
Wsłuchany w serc bijących stuk
I kropli deszczu nokturn,
Nieraz się z łóżka swego zwlókł
I czuwał Stary Doktor.
Nie trzeba płakać – mówi
choć ciężko jest nam dziś
Należy mieć nadzieję,
Zieloną tak jak liść.

A-a-a
Świat większy jest niż łza
Wkrótce świt
lepszego dnia...
Mówili: Stary Doktor
On nie wie, co samotność...

A kiedy przyszło iść
Już w drogę bezpowrotną
Na czele sierot swoich szedł.
Najmłodsze niósł na ręku
I słychać było jego szept,
Że trzeba iść – bez lęku.
Na jego rękę dziecko
Zbudziło się ze snu,
Więc Stary Doktor Korczak
Tłumaczył cicho mu –

A-a-a
Świat większy jest niż łza
Wkrótce świt
Lepszego dnia...
A-a-a
Za oknem noc i mgła
Wkrótce świt
Lepszego dnia...

TRATWĄ Z KRAKOWA DO TORUNIA

KATOWICE (Inf. wł.). Kiedy norweski zoolog, badacz i podróżnik Thor Heyerdahl wraz z pięcioma towarzyszami przemierzał na wybudowanej na wzór łodzi Inków słynnej tratwie „Kon-tiki" Ocean Spokojny – nie przypuszczał zapewne, że w kilkadziesiąt lat później na podobną wyprawę, lecz o znacznie mniejszej skali trudności, wybiorą się myśliwscy górnicy. Heyerdahl zamierzał udowodnić, że starożytni Inkowie pokonali się swoimi łodziami wzdłuż wybrzeży Ameryki Południowej, myśliwiczanie natomiast postanowili spłynąć swą tratwą na wzór flisów wiślanych z Krakowa do Torunia.

Pomysł zorganizowania wyprawy, której celem było przypomnienie flisackich tradycji narodził się w ubiegłorocznej Barbórkę. Jego autorem był dzisiejszy kapitan tratwy – **Janusz Osip.** Zainteresował on swym projektem kolegów z pracy z Oddziału Przewozów Dołowych kop. „Myślowice": **Romana Cupiała, Bolesława Rusieckiego, Zenona Soponia i Henryka Walczaka,** którzy zapalili się do eskapady. Wkrótce wszyscy przystąpili do realizacji zamierzenia. Dzięki pomocy Zarządu Zakładowego ZSMP, kopalnianego biura projektowego i kolegów z zakładowej stolarni – tratwę zbudowano w niezwykle krótkim terminie i w dodatku w całości z materiałów odpadowych. Pierwsze próby po zwodowaniu odbyły się na akwenie zakładowego ośrodka sportów wodnych „Hubertus" w Myślowicach. Wypadły nader pomyślnie. „Trawis" – tak bowiem nazwano tratwę – ma 12 m długości, 4 m szerokości i... 7 ton wyporności. Wyposażona jest w napęd żaglowo-wiosłowy i w dwa namioty spełniające rolę zaplecza i sypialni załogi i pasażerów. Załoga, płynąca z 11 osób – 5 członków załogi zasadniczej i towarzyszących im żon i dzieci, ma zamiar dopłynąć do Torunia z końcem sierpnia.

Życzymy pomyślnych wiatrów i stopy wody pod „podłogą". **(kk)**

Fot. **Jan Hanusik**

Salon MAW już po wakacjach

Już od połowy sierpnia wznowił swoją działalność Salon Wydawnictw Młodzieżowej Agencji Wydawniczej przy ul. Wilczej 62 w Warszawie. Codziennie w godzinach od 12 do 18 nasi Czytelnicy mogą tam znaleźć zarówno nowości tej oficyny wydawniczej, jak i publikacje dawno wyczerpane w innych księgarniach. W ciągłej sprzedaży znajdują się m.in. interesujące książki przygodowe, lektury szkolne, komiksy, książki-zabawki, poradniki, literatura popularno-naukowa, poezja, śpiewniki, a także publikacje metodyczne dla harcerzy.

Poza książkami, miłośnicy zespołów młodzieżowych mogą w salonie na Wilczej znaleźć kasety, płyty i plakaty swoich ulubieńców. M.in. zespołów Maanam, Perfect, Republika, Lombard; TSA, a także znanych wykonawców takich jak Andrzej Rosiewicz, Czesław Niemen czy Franek Kimono.

Również kolekcjonerzy miesięcznika „Fantastyka" mogą uzupełnić brakujące numery tego poczytnego pisma, ponieważ salon prowadzi sprzedaż egzemplarzy archiwalnych.

JEST O CZYM „ROZMAWIAĆ"!

USA (PAP). Czy drzewa mogą się ze sobą porozumiewać? Zdaniem dwóch naukowców amerykańskich – tak.

Od wielu lat prowadzą oni obserwacje wielu gatunków drzew i doszli do wniosku, że nawzajem ostrzegają się one wydzielanymi zapachami o grożącym niebezpieczeństwie.

Wielokrotnie zaobserwowali przesyłanie takich sygnałów, zwłaszcza między wierzbą i olchą. Jedno z nich, zaatakowane przez szkodniki chemiczne, które dają znać sąsiadom, że grozi im niebezpieczeństwo. Wówczas drzewa, które otrzymały „sygnał", zaczynają zwiększać w sokach środki broniące je przed nieprzyjacielem.

Naukowcy amerykańscy sądzą, że w ten sposób dają sobie znaki również drzewa innych gatunków. **(kl)**

Komisja koordynacyjna Wojskowych Kręgów Instruktorskich ZHP Marynarki Wojennej wraz z Wydziałem Wczasowo-Turystycznym MW zorganizowały w Ustce zgrupowanie obozów harcerskich i kolonii zuchowych pod nazwą

FLOTA BIAŁEGO ORŁA

Kiedy wchodzisz na trap – wyprężony jak struna, wachtowy wita cię świstem trapowym. I już jesteś na pokładzie ORP „Błyskawica". To nic, że pod stopami piasek, a nad głową szumiące korony sosen. Tu jest okręt! Oryginalny okrętowy zegar wskazuje czas. Na równie oryginalnym dzwonie okrętowym wachta, niezależnie od pogody i wszelakich innych okoliczności, regularnie co pół godziny wybija szklanki. Na każdym harcerskim mundurku załogi numerki okrętowe. Sprawa dla każdego oczywista, że skoro ktoś ma na przykład numerek 121, jest specjalistą pierwszej klasy (tu – zastępowym) z drugiego działu okrętowego, pierwsza zmiana wachty, prawa burta. Każdy z pięciu zastępów zaś to inny dział okrętowy: sterniczki, artylerzystki, motorzyści, sygnaliści, radarzyści. Co rano o 8.00 – ceremoniał podniesienia bandery. Wszystko zgodnie z Regulaminem Służby Okrętowej.

Tak jak na prawdziwych okrętach, na których pełnią służbę ojcowie wielu z nich. Bo na zgrupowaniu w Ustce przebywają dzieci kadry i pracowników cywilnych Marynarki Wojennej. Dzięki stylowi pracy na obozach, zajęciom w gabinetach Centrum Szkolenia Specjalistów MW, a także zwiedzaniu prawdziwych okrętów i jednostek brzegowych, mają okazję poznać lepiej niż do tej pory problemy służby i pracy swoich rodziców. I mają też okazję posmakować harcerstwa.

Przyjeżdżających tutaj nie obowiązywała przynależność do ZHP, a jedynie harcerski mundur i podstawowa wiedza o harcerstwie. W jej zdobyciu bardzo pomógł przyszłym uczestnikom zgrupowania wysłany do nich Biuletyn Informacyjny, a w nim m.in.: rozszyfrowanie symboliki harcerskiego krzyża i lilijki, tekst Przyrzeczenia i Prawa Harcerskiego, alfabet Morse'a, znaki patrolowe, teksty kilku harcerskich piosenek, a nawet zasady pakowania plecaka. Informacje i zadania przedobozowe drukowane były również w miesiącach poprzedzających HAL'83 przez Tygodnik Marynarki Wojennej „Bandera". Pomocą dla organizatorów była natomiast wypełniana przez młodzież ankieta, z której można się było zorientować czy ktoś jest już harcerzem, jaki czas ma staż, jaką funkcję, ale też jakie ma oczekiwania w związku z obozem. Z szerokiego zestawu propozycji – począwszy od podchodów, gier terenowych i manewrów techniczno-obronnych, aż po zawody sportowe, ogniska, wycieczki, naukę gotowania i szycia, kółko malarskie czy majsterkowanie – można było wybrać najatrakcyjniejsze dla siebie. Tak więc, kiedy zarówno doświadczeni harcerze, jak i ci, którzy dopiero chcieli harcerstwa popróbować, znaleźli się w Ustce, kapitan marynarki hm PL Andrzej Kuczera, komendant zgrupowania, i pozostali ludzie z kadry byli już zorientowani, kogo biorą pod swoje skrzydła. Życzenia młodzieży zaś znalazły odbicie w ramowym programie zgrupowania.

Wybijanie szklanek to dla każdego nie lada frajda

Nauka wiązania węzłów ratowniczych

Komendantami czterech obozów – ORP „Błyskawica", ORP „Grom", ORP „Orzeł" i ORP „Sokół" – zostali: starszy bosman i trzej marynarze służby czynnej, najlepsi z najlepszych wśród instruktorów WKI Marynarki Wojennej. Do Ustki przyjechali cztery dni przed obozem aby spotkać się z komendantem Kuczerą i częścią kadry zgrupowania. Przydał się ten czas na otrzaskanie się i dogadanie, na przedstawienie swoich, przygotowanych samodzielnie, planów.

Wieczór. W „drzwiach" namiotu komendy zgrupowania pojawiają się Mirek Barszczewski (komendant obozu ORP „Grom", w stopniu przewodnika, pod wojskiem instruktor w hufcu Kamienna Góra; funkcja służbowa na okręcie sternik) i Piotr Trzebiatowski (instruktor programowy na „Gromie"; na próbie przewodnika; przed wojskiem drużynowy drużyny młodszoharcerskiej w Toruniu, na okręcie – sygnalista). Mirek ma dobrą nowinę: załatwił dla dzieciaków wejście na okręt. A poza tym chcą jeszcze poradzić się komendanta, druha Andrzeja, jak najlepiej zorganizować trzydniową wędrówkę dla całego obozu, planowaną za tydzień. Wspólna decyzja: trzeba zrobić najpierw wraz z 2–3 harcerzami zwiad w terenie. Jeszcze parę słów o sprawnościach, jakie już na „Gromie" są i jakie w najbliższym czasie będą zdobywane, i... natychmiastowy odwrót do obozu. Ponieważ jest położony najdalej od centrum zgrupowania, nie udało się doprowadzić doń światła, więc chociaż dzieci naprawdę nie mają się czego bać nawet w ciemnościach, instruktorzy wolą jak najszybciej być z nimi.

Druha Artura Wójcika, w stopniu przewodnika, komendanta „Błyskawicy", poznaję goszczą na jej pokładzie. W harcerstwie jest od zucha, kiedy odchodził do wojska, był właśnie komendantem szczepu starszoharcerskiego. Jest mechanikiem okrętowym i, oczywiście, członkiem WKI podczas służby czynnej opiekującym się stale drużyną harcerską.

Kiedy dowiedział się, kim na być w Ustce, natychmiast wydębił od swego dowódcy dzwon okrętowy, wyprosił świst trapowy i „gwizdnął" bratu-kolekcjonerowi okrętowy zegar, wybrał najrzadziej używane w kodzie flagi. I popłynęły na „Błyskawicy" gawędy o szklankach; o tym, że co by się na okręcie nie działo, to zawsze według znajdującego się na centralnym miejscu, na głównej nadbudówce, zegara; o znaczeniu bandery na okręcie. Jak dobrze móc nie tylko słuchać, ale też zobaczyć te „cuda" na własne oczy, dotknąć ich nawet...

W tanecznym kręgu wszyscy są równi...

Na „Gromie" trwa akurat nauka pląsów i harcerskich piosenek. Wystarczy spojrzeć na Mirka, Piotra i Leszka Furtaka, obożnego, prowadzących zwariowane pląsy i śpiewających przy wtórze gitary, aby uwierzyć, że oprócz – niemożliwych do zdobycia, a tak niezbędnych – gwoździ i linki nic więcej im do szczęścia na tym obozie nie brakuje.

I w wojsku pozostali harcerzami. Świadczy o tym zarówno ich praca z drużynami harcerskimi na lądzie, jak i harcerskie krzyże noszone na marynarskich mundurach. To nic, że niektórzy koledzy z ich załóg pukają się w czoło z „dowcipnymi" komentarzami: „O, harcerz! Wariat! Z dzieciakami po lesie lata!" Kiedy zaś Mirek, będący u siebie na okręcie bibliotekarzem, wybiera się do księgarni, zaraz wysyłają z nim „pilnowacza", żeby przypadkiem znów samych książek o harcerstwie nie nakupił. I, podobnie jak jego koledzy z WKI, po odbyciu służby wojskowej nie ma zamiaru zrezygnować z tego „latania z dzieciakami po lesie:".

A w Ustce...

– Większość moich przyjechała z takim nastawieniem emocjonalnym, że będą harcerzami – mówi Mirek – i nie ma dla nich większej frajdy niż zwiady czy biegi patrolowe. A najczęściej powtarzane przez nich pytanie brzmi: „czy będę mógł złożyć Przyrzeczenie i dostać krzyż?" No więc otwieramy im próby.

Fragment listu do rodziców, autorstwa komendanta Andrzeja Kuczery, zamieszczonego we wspomnianym już Biuletynie Informacyjnym: *„Naturalnie, aby „przesiąknąć" wonią harcerskiej watry" nie starczy jeden obóz, choćby prowadzony jak najdoskonalej. Potrzebne jest stałe uczestnictwo dziecka w pracy i służbie harcerskiej. Dlatego też prosimy, aby po zakończeniu HAL jej uczestnicy nie zrywali kontaktu z organizacją – Komisja koordynacyjna WKI ZHP MW, działająca przy Radzie Młodzieżowej MW, będzie zakładać po wakacjach zuchowe i harcerskie drużyny środowiskowe w garnizonach, prowadzone przez doświadczonych instruktorów ZHP w marynarskich mundurach. Niechaj członkowie zgrupowania „Flaga Białego Orła" staną się zaczynem środowiskowych drużyn zuchowych i harcerskich Marynarki Wojennej."*

EWA KOSIŃSKA
Fot. **Adam Krajewski**

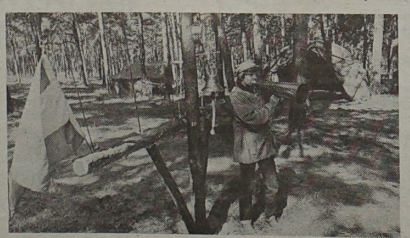

Na ORP „Błyskawica" komendy wydawane są przez tubę głosową

REDAKCYJNA POCZTA

O „niebieskim pasku" raz jeszcze

Do „Świata Młodych" piszę po raz pierwszy i może w ogóle nie napisałabym, gdyby nie list Grażyny i Małgorzaty, który przeczytałam w 79 numerze „ŚM". List wzburzył mnie, gdyż dziewczyny te sądzą, iż w „ŚM" „Redakcyjna Poczta" niepotrzebnie zajmuje miejsce. Czym potwierdzają swoją opinię? Przedstawiają propozycję założenia „Kącika Ciekawej Książki" kosztem „RP". Owszem, można byłoby taki kącik założyć, ale dlaczego kosztem „RP"? Czyżby nie wiedziały, że właśnie ta rubryka ma najwięcej zwolenników? Poza tym nie wiadomo, czy propozycja założenia „KCK" innym przypadnie do gustu. Jeżeli komuś nie podoba się ta czy inna rubryka, to po prostu niech jej nie czyta i tyle. Nie można przecież wymagać od redakcji „ŚM" aby drukowała to, co akurat Wam się podoba i Was interesuje. Jesteście „niedowiarki", więc jeżeli redakcja wydrukuje mój list, gwarantuję, że pisałam go sama.

„Koraczi"

OD REDAKCJI: Kącik Ciekawej Książki, choć niedokładnie pod takim tytułem, istnieje w naszej gazecie od dawna. Zamieszczamy tam recenzje i informacje o nowych, interesujących książkach. Uważni czytelnicy „ŚM" na pewno nie przeoczyli tego faktu, o którym zarówno Małgorzata, Grażyna jak i Karaczi mogą się przekonać zaglądając choćy do 75 numeru naszej gazety z 25 czerwca 1983 roku i odnajdując znamienny cytat z Sienkiewicza: „Gdy się ktoś zaczyta, zawsze albo się czegoś nauczy, albo zapomni o tym, co mu dolega, albo zaśnie – w każdym razie wygra." (es)

Czy tak musi być?

Mam 10 lat. Przeszłam do V klasy. Nie mam przyjaciół. Wszyscy moi koledzy i koleżanki są przyjaciółmi na „pięć minut", tylko wtedy, kiedy czegoś potrzebują ode mnie. A gdy nie mogę im tego pożyczyć albo nie wiem jak im pomóc, zaraz jestem „świnią", „dynią" i „debilką". W szkole chłopcy nie dają mi spokoju z wyzywaniem i szturchaniem. Często są to słowa i gesty wulgarne. To prawda – nie jestem chuda. Rodzice mówią mi: „Nie przejmuj się tym, ćwicz dużo na lekcjach wf-u". Gdy przychodzi lekcja wf, słysząc wyzwiska zatłumuję się i każde ćwiczenie wychodzi mi o wiele gorzej. Gdy jestem na podwórku, jest to samo.

Droga „RP", proszę bardzo o wydrukowanie mojego listu, może po przeczytaniu go moi koledzy i koleżanki zmienią swoje postępowanie. Jeśli ktoś będzie miał takie samo lub podobne zmartwienie, niech pisze do mnie.

Ewka

OD REDAKCJI: Trudno nie przejmować się wyzwiskami i brutalnym zachowaniem kolegów. Jednakże, Ewo, powinnaś przynajmniej udawać, że docinki kolegów mało Cię obchodzą. Nie staraj się zdobywać ich sympatii za cenę własnego poświęcenia, skoro nie umieją tego docenić. Bądź miła i wesoła tak jakby nikt nigdy Cię nie obraził. Popsujesz w ten sposób zabawę tym wszystkim brutalnym i nietaktownym kolegom, a sobie oszczędzisz niepotrzebnych upokorzeń. (es)

LWP'83

Aż żal przypomnieć, że to właściwie jeszcze tylko tydzień wakacji! Najwyższy czas wyruszyć na tradycyjną wyprawę Nieobozowej Akcji Letniej – na wyprawę tropem... wakacyjnych przygód. Bo mieliście ich chyba co niemiara. A więc rowerem lub pieszo, na cały dzień lub na przedpołudnie, z kanapkami lub gotowaniem na biwakowej kuchni – wybierzcie się tam, gdzie np.

● pomagaliście ludziom w żniwach; by zobaczyć jak teraz wygląda ich pole, dowiedzieć się, jak obfity był plon, co słychać u gospodarzy;

● Waszym zdaniem jest najpiękniejszy krajobrazowo zakątek Waszej okolicy, co się w nim teraz „pod jesień" zmieniło;

● obserwowaliście dziką zwierzynę – we dnie i o zmroku; czy słychać tam jeszcze śpiew ptaków, czy uda się Wam zauważyć różnicę we wzroście młodych zwierząt;

● przeżyliście najmilsze chwile przy wieczornym biwakowym ognisku, spotkaliście się z człowiekiem, który pozostanie na długo w Waszej pamięci;

● wykonaliście jakąś pożyteczną pracę w sposób „niewidzialny", może takie działanie jest znów komuś potrzebne?

Wyprawę tropem wakacyjnych przygód opiszcie w kronice zastępu. A może napiszecie do mnie?

Wasz WAGABUNDA

Na pierwszy rzut oka (12)

EKLEKTYZM czyli WSZYSTKOIZM

Mniej więcej w połowie XIX wieku, gdy przeżył się już neoklasycyzm i empire, a panująca moda romantyczna nie zadowalała się już tylko tajemniczością gotyku, w architekturze zaczął się galimatias, czego przykładem może być choćby dworzec kolejowy w Skierniewicach zaprojektowany w stylu... arabskim, czy teatr im. Słowackiego w Krakowie, którego styl można nazwać... pompatycznym, tyle w nim ozdób, ozdóbek, gmachów reprezentacyjnych i zwykłych czynszowych kamienic, budowanych z większym lub mniejszym smakiem – aż do początków naszego stulecia. W tej epoce trudno o wyróżniki i pierwszy ani drugi rzut oka nie wystarczy, żeby to wszystko poznać i poklasyfikować.

Pora więc kończyć nasze wakacyjne wycieczki architektoniczne. Jeśli zostawiamy Was w tym miejscu, jakby w pół drogi, nie wspominając nic o secesji, ani o próbach wprowadzenia stylu narodowego (zakopiańskiego, dworkowego), ani o osiągnięciach i pomyłkach XX wieku, to czynimy tak nie tylko dlatego, że kończą się wakacje, ale i dlatego, że sądzimy, iż lepiej powiedzieć za mało niż znudzić. Jesteśmy przekonani, że ci z Was, którzy choć trochę zdążyli w czasie naszych spotkań i własnych odkryć zaprzyjaźnić się z architekturą – będą tę przygodę kontynuować. Może sami uzupełnią dalszy ciąg tej historii. Dla nich na zakończenie cyklu mamy zadanie – błyskawiczny quiz wymagający odpowiedzi na jedno pytanie: co Wam przypomina zwieńczenie gzymsów Pałacu Kultury i Nauki w Warszawie.

Na autora prawidłowej odpowiedzi, którego wyłonimy drogą losowania, czeka nagroda książkowa. Dla ułatwienia dodajemy, że aby zgadnąć, wystarczy uważnie przyjrzeć się poprzednim odcinkom „Na pierwszy rzut oka". Piszcie na kartkach pocztowych pod adresem: Redakcja ŚM" 00-561 Warszawa, ul. Mokotowska 24 – z dopiskiem „Zagadka architektoniczna".

Fot. J. Łopuszyński.

NASZE DRZEWA *Cholewa / Kłosowski*

CZEREMCHA ZWYCZAJNA

(Padus avium)

Czeremcha, kolejne liściaste drzewo w naszym cyklu – należy do rodziny różowatych.

Pojedyncze egzemplarze występują w pobliżu brzegów rzecznych i w lasach liściastych o podłożu wilgotnym. Można ją również spotkać nad wodami śródleśnymi lub na stromych krawędziach zalewanych dolin.

Czeremcha zwyczajna występuje w postaci krzewiastej i drzewiastej, z silnie rozgałęzioną koroną. Wyrasta do 20 m. Podobnie jak u innych drzew liściastych – i w tym wypadku liście żyją około roku. Nie jest to marnotrawstwo przyrody. Opadanie liści jesienią stanowi zasadniczy sposób samoobrony wielu znanych roślin przed mrozem i jego skutkami.

Kwiaty obojga płci, które są białe, zebrane są w wiotkie grona. Można je łatwo rozpoznać, gdyż charakteryzują się wyjątkowo odurzającym zapachem. Zapylają je owady. Owoce, które są mdłe w smaku – bywają – chętnie zjadane przez kosy i rudziki. Z racji właściwości biologicznych stanowi roślinę leczniczą.

SPOSÓB NA KOMARY

Ten mały przyrządzik, który widzicie obok, jest urządzeniem elektronicznym, które zdecydowanie i skutecznie odpędza kłujące komary. Podobno już wypróbowany, a reklamowany na Zachodzie jako „przedziwne odkrycie naukowe". Na czym polega jego działanie i tajemnicza siła?

Otóż kłują tylko osobniki żeńskie komara widliszka. W okresie składania jaj unikają one jak ognia widliszków-samczyków. Rozpoznają je zaś po charakterystycznym brzęczeniu wydawanym przez samczyki. Otóż ów przyrządzik wysyła takie właśnie brzęczenie, odpowiadające wiernie swoją częstotliwością naturalnemu brzęczeniu „panów widliszków". Jeżeli włoży się taki „nadajnik" do kieszeni i włączy go – wszystkie „panie widliszkowe", które zbliżały się, by utoczyć krwi z człowieka, już z odległości 5 metrów zawracają i uciekają gdzie pieprz rośnie.

Producenci zapewniają, że „elektroniczny brzęk" jest nieszkodliwy dla ludzkiego ucha i nie działa na... nerwy. Polecany jest głównie dla dzieci. Ważne, że można go zawsze mieć ze sobą – na wycieczce, w namiocie, na ...randce. Zasilanie z baterii 1,5-woltowej, zmienianej raz na rok. Wariant włoski tego urządzenia nosi nazwę Z-STOP.

Nie mamy na razie „Z-Stopu", więc co robić przeciw kłującym komarom? Spróbujcie następującej mikstury. Garstkę babki wąskolistnej (można ją znaleźć na każdej prawie łące) układamy w naczyniu z ciemnego szkła i zalewamy kieliszkiem czystego spirytusu starannie korkujemy. Po upływie tygodnia ostrożnie zlewamy płyn do flakonika również z ciemnego szkła. Preparat jest gotów. W razie potrzeby dla ochrony przed komarami smarujemy nim twarz i inne odkryte części ciała. Przy smarowaniu uważać, by płyn nie dostał się do ust lub oczu. (WAG)

Z antologii „Ku pamięci!"

PAMIĘTNIKOWE POUCZENIA

Kamila Szczurowska z Gdyni radzi:
Nie wierz pięknym słowom,
ni obłudnym minom.
Chcąc poznawać ludzi,
przypatrz się ich czynom.

Małgosia Głyżewska z Klargnowa proponuje:
Nie chwal tego, co kochasz,
ale kochaj, to, co chwały jest godne!

Natomiast **Małgosia Giszler** z Bolesławca wpisuje koleżankom:
Chcesz być szczęśliwa?
Kochaj i pobłażaj.
Nie goń za szczęściem,
lecz szczęściem obdarzaj!

A z listu **Julity Michalskiej** z Międzychodu wybraliśmy następujący fragment:
Jeżeli uciekło szczęście od ciebie,
jeżeli trapi cię pech,
pamiętaj, że został ci jeszcze w życiu
skarb najcenniejszy – śmiech...

Łatwo powiedzieć...

Na traperskiej ścieżce

POMIARY NA ODLEGŁOŚĆ

Czy wiesz, że twój kciuk może być całkiem nieźłym i w miarę precyzyjnym przyrządem pomiarowym, który można stosować „zdalnie?" Popatrz na poniższe rysunki. Odległą drogą idzie człowiek. Wyciągasz rękę z zaciśniętą pięścią, podniesiony jest tylko kciuk i zamykasz jedno oko; prawe – jeśli pieszy (lub pojazd) porusza się od prawej ku lewej stronie, a lewe – gdy pieszy porusza się od lewej ku prawej. Kiedy pieszego nakryje twój nieruchomy palec, zamknij lewe oko a otwórz prawe. Człowiek w tym momencie jakby odskoczył w tył. Licz teraz, ile kroków uczyni on do momentu, w którym znów „schowa się" za twój palec. Odległość od Ciebie do idącego drogą pieszego będzie równa liczbie kroków pomnożonej przez 10.

W ten sam sposób można określić odległość również do nieruchomych przedmiotów. Trzeba tylko dokładnie określić, ile przedmiotów, których prawdziwe rozmiary znamy, zmieści się w „przedziale" określonym palcem przy obserwacji lewym i prawym okiem.

Przy mierzeniu odległości znakomite usługi oddaje znajomość wymiarów własnego ciała. Dlatego warto je znać, zapisać i uzupełniać, bo przecież młody człowiek rośnie. A więc:

- długość kroku,
- wysokość (wzrost),
- odległość od ziemi do oczu,
- szerokość dłoni z kciukiem,
- odległość od oczu do końca środkowego palca dłoni przy wyciągniętej ręce,
- szerokość paznokcia u palca wskazującego,
- szerokość palca wskazującego itp.

Warto też znać wymiary takich przedmiotów, jak monety, zapałki, szczyty, pasek do plecaka, szerokość buta. (WAG.)

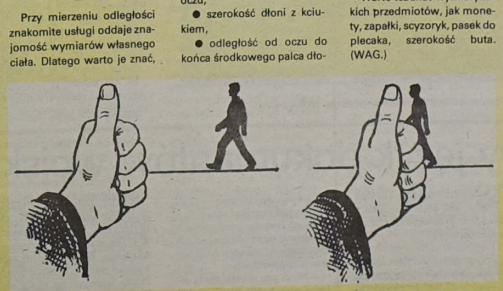

Aikido – sztuka walki bez walki (16)

„RANDORI" – STYL WOLNY

Jedną z form treningu na najwyższym poziomie aikido jest wolny styl zwany „randori". Aikidoka sprawdza wtedy swój refleks oraz koordynację ruchów.

Przypatrzmy się jednej z możliwych form obrony przed atakiem czterech ludzi naraz. Zwróćmy uwagę jak atak pojedyńczego „uke"* wykorzystany zostaje przeciwko pozostałym napastnikom.

Opr. **Marek Woźniak**
Rys. **Witold Kirmiel**

*) W aikido nie istnieje pojęcie ataku. Dla lepszego objaśnienia omawianych technik wprowadzamy umownie japoński termin „uke" – atakujący.

W „FIRMIE PORTRETOWEJ" WITKACEGO

„Przy tej życiowej nieznajomości ludzi miał Staś niepospolitą «intuicję» przy malowaniu portretów, na których tak często ukazywał właśnie «prawdziwego» człowieka. Ileż to razy człowiek, którego Witkacy w życiu idealizował, wychodzi na portrecie jako typ ujemny w tym lub innym kierunku. I odwrotnie. Ta intuicja nie dotyczyła tylko cech zasadniczych modelu, lecz również jego nastrojów, jego przeżyć."
Teodor Birula-Białynicki – „S.I. Witkiewicz. Człowiek i twórca"

A oto jeden z wytworów „Firmy", portret Włodzimierza Nawrockiego (1929 r.)

Tym razem chciałbym zaproponować Wam podróż do dwóch miejsc niezwykłych, związanych z osobą jednego twórcy – Stanisława Ignacego Witkiewicza, leżących na przeciwległych krańcach Polski – do Zakopanego i do Słupska. W Zakopanem Witkacy mieszkał niemal przez całe życie. W Słupsku, który należał wówczas do Rzeszy Niemieckiej, nigdy nie był. Ale po wojnie przypadek zrządził, że tam właśnie, do Muzeum Pomorza Środkowego, trafiła wspaniała, licząca około 200 obrazów Witkacego, kolekcja. Oglądając słupskie portrety artysty, myślami będziemy jednak w Zakopanem, gdzie żył i tworzył...

„Hossa" na Zakopane

Kiedy w 1925 roku Witkacy zdecydował się na utworzenie „Firmy Portretowej", był już artystą dojrzałym. Dramaturg, powieściopisarz, filozof, malarz i teoretyk sztuki należał do grona najwszechstronniejszych artystów XX wieku. Za sobą miał wyprawę naukową do Australii i Oceanii w towarzystwie światowej sławy etnologa – Bronisława Malinowskiego, i doświadczenia wyniesione z doborowego pawłowskiego pułku gwardii w Rosji. Do Petersburga pojechał w 1914 roku, przypuszczalnie z myślą o wstąpieniu do wojska polskiego, które usiłowano tam stworzyć. Skończyło się na walkach w armii rosyjskiej, a po jej klęsce, na powrocie do kraju w 1918 roku. Zamieszkał w Zakopanem.

Zakopane doby pozytywizmu, Młodej Polski, a później okresu międzywojennego stanowiło prawdziwą Mekkę dla artystów wszelkiej maści – malarzy, muzyków, pisarzy i aktorów, którzy wspólnie ze znakomitościami nauki, medycyny i architektury tworzyli śmietankę intelektualną, nadając ton życiu artystycznemu uzdrowiska pod Giewontem, a w pewnym sensie także w kraju. To oczywiste, że atmosfera – trochę jak z „Czarodziejskiej góry" Tomasza Manna – skłaniała do przyjazdu latem i zimą rozmaite wielkości, cierpiące niejednokrotnie na „modne" w tym światku suchoty, ale także inteligencję szarą, nie mającą na swym koncie większych osiągnięć, poszukującą być może w zakopiańskim tyglu pożywki intelektualnej. Jedni i drudzy zbierali się na filozoficzne dysputy przy półczarnej.

Dla większości gości sezonowych nieważne było, jakie która z tych wielkości wygłasza teorie, co pisze, maluje czy komponuje. Ważne było w jakiej kawiarni ma swój stolik, z kim przebywa, jak się ubiera, którą z panien adoruje. Pośród samej bohemy naturalnie nie brak było przeróżnych oryginałów, wybuchały coraz to nowe skandaliki, stanowiące nie lada pożywkę dla późniejszych plotek. Zawiązywały się trwałe przyjaźnie, na oczach obserwatorów dokonywały się oficjalne zerwania stosunków towarzyskich, w czym celował zakopiański oryginał nad oryginały, okrzyknięty niesłusznie narkomanem i alkoholikiem, uchodzący za wielkiego dziwaka – Witkacy.

Witkacy najmniej przejmował się ową reputacją, a na łamach miejscowego „Echa Tatrzańskiego", w felietonie „Demonizm Zakopanego", na problemy zakopiańskie taką dawał diagnozę: *„Jakie to są symptomy, dość trudno określić. Zasadniczym jednak dla różniczkowej djagnozy jest to, że wzrok prawdziwego zakopiańczyka (nawet gdy załatwia codzienne sprawy życia) ma w sobie coś dośrodkowego, pępkocentrycznego, podczas gdy wzrok zwykłego człowieka czasem tylko przybiera ten charakter."*

Matka Witkacego, żona Stanisława Witkiewicza, prowadziła po śmierci męża pensjonat w wynajętej willi „Tatry". Tam też mieszkał Witkacy. Interes trzeba było jednak zwinąć, ponieważ nie przynosił dochodów, i Witkiewiczowie przenieśli się do willi „Olma", stanowiącej własność bliskiego przyjaciela Witkacego, doktora Biruli-Białynickiego. Było to w 1924 roku, a więc tuż przed otwarciem „Firmy". W gościnnym domu przyjaciela, często bezpośrednio podczas wieczornych uczt, malował Witkacy wielokrotnie, wybierając sobie modeli spośród gości. Portretował również rodzinę Teodora Biruli-Białynickiego, czego dowodem są liczne obrazy w słupskich zbiorach.

Nie udało mi się odnaleźć w Zakopanem dawnej willi doktora Biruli-Białynickiego. Stała podobno przy ulicy Zamoyskiego, gdzie do dziś oglądać można drewniane, obszerne, w większości przedwojenne domy. Może jest wśród nich również „Olma", lecz napis dawno się zatarł, a nowi mieszkańcy niezbyt interesują się przeszłością Zakopanego. Mniejsza jednak o to. Na Antałówce stoi do dziś dawna willa Pawlikowskich, zaprojektowana przez ojca Witkacego, w której Stanisław Ignacy zamieszkał przypuszczalnie od 1933 roku.

Cóż to była za „Firma"?

Skąd wziął się pomysł założenia „Firmy Portretowej", której duchowym patronem, założycielem i wykonawcą był jeden i ten sam człowiek – Witkacy? Otóż artysta i filozof wszechobecny w życiu kulturalnym Polski międzywojnia, bardzo wysoko ceniony przez Tadeusza Boya-Żeleńskiego (portret oglądamy w słupskiej galerii) i Władysława Tatarkiewicza, który włączył jego teorie do wykładów uniwersyteckich, nie znalazł wówczas szerokiego kręgu odbiorców. Powodem – myśle, że podobnie jak w przypadku Norwida – prekursorski, a więc trudny w odbiorze, charakter sztuki. Z tego stwierdzenia wynika prosty wniosek. Witkacy, nie wydawany w zbyt dużych nakładach, potrzebował pieniędzy. Stąd „Firma Portretowa". Ale – pomimo że malował za pieniądze – modeli dobierał starannie, odmawiał wykonania portretu, jeśli nie dostrzegł w modelu choćby śladu tych cech, które w portrecie owocowały słynnym Witkacowskim demonizmem.

Na mnie portrety Witkacego robią wrażenie. W mniejszym może stopniu te, które w „Regulaminie Firmy Portretowej S.I. Witkiewicz" zaliczał do typu „A", określając je jako „wyliźane", co polegało na „zatraceniu charaktru na korzyść upiększenia", względnie zaakcentowaniu „ładności". Największe – portrety typowo Witkacowskie, oddające tak zwaną psychologię głębi.

Zdeformowane, powiększone sztucznie do znacznych rozmiarów twarze mają sugerować charakter osoby portretowanej, jej stan duchowy i emocjonalny. W tych portretach dostrzec możemy Witkacego-eksperymentatora; nie tylko malarza głoszącego założenia Czystej Formy, ekspresjonistę, ale również kontynuatora symbolizmu i nawet – jak w przypadku portretu doc. Stefana Glassa – jednego z pierwszych polskich surrealistów. Dwie złączone wspólną szyją głowy doc. Glassa patrzą inaczej, przez pryzmat innych życiowych doświadczeń, pokazują tego samego i jednocześnie innego człowieka. Czy jest to próba pokazania rozdwojenia osobowości, dwóch różnych natur człowieka? Jeden Glass jest uśmiechnięty, nastawiony do życia i ludzi przyjaźnie, drugi nieufny, ostrożny, może nawet cyniczny...

Jeśli potraktujemy „Regulamin Firmy Portretowej S.I. Witkiewicz" jako swego rodzaju manifest, prowokację artystyczną, podobną trochę do tych, jakie rzucali odbiorcom dadaiści, przyznamy, że założenia portretowego rzemiosła były po prostu bluffem. Bo w gruncie rzeczy Witkacy dbał o poziom artystyczny sprzedawanych portretów. Nie wszystkie zresztą malował na zamówienie. Wiele portretów typu „C" powstało w kręgu znajomych i przyjaciół.

Popatrzmy na motto „Regulaminu". Witkacy pisze: *„Klient musi być zadowolony. Nieporozumienia wykluczone".* Żart ewidentny, ale i wentyl bezpieczeństwa. Podporządkuj się „Firmie" do końca, albo daj sobie z portretowaniem spokój. Czytajmy dalej. *„Wykluczona jest absolutnie wszelka krytyka ze strony klienta. Portret może się klientowi nie podobać, ale firma nie może dopuścić do najskromniejszych nawet uwag, bez swego specjalnego upoważnienia. (...) Do krytyki należy także konstatowanie podobieństwa, (...) powiedzenie takie jak: „Jestem za ładna", „Czy ja jestem taka smutna?", „To nie jestem ja", w ogóle wszystko i to tak pod względem dodatnim jak i ujemnym. (...) Nerwy firmy, ze względu na niesłychaną trudność zawodu, tejże – muszą być szanowane."* Czy dziś bodaj jedna „Firma" postawić może takie warunki? Na pewno, tylko gorzej byłoby z klientelą...

Willa na Antałówce, zaprojektowana przez ojca Witkacego – Stanisława Witkiewicza – w której od 1933 roku mieszkał on sam
Fot. K. Adamowski

Podróż do Słupska

Czemu zawdzięcza Muzeum Pomorza Środkowego największą kolekcję portretów Witkacego w Polsce (oczywiście na świecie również)? Właściciel 110 portretów był wspomniany lekarz zakopiański, a później jego syn – Michał Birula-Białynicki, który po wojnie zamieszkał w Lęborku. Gdy w 1965 roku znalazł się w kłopotach finansowych, zaoferował sprzedaż portretów gdańskiemu muzeum, a gdy spotkał się z brakiem należytego zainteresowania – Muzeum Pomorza Środkowego w Słupsku. Dziewięć lat później wzbogaciło się ono jeszcze o 40 portretów stanowiących własność dr. Włodzimierza Nawrockiego, stomatologa z Zakopanego, na którego fotelu dentystycznym zasiadał artysta, a za usługę płacił, wiadomo, obrazami.

– *Dziś* – mówi **Anna Krzyżanowska-Hajdukiewicz, kustosz słupskiego muzeum** – *jeden portret kosztuje* tyle, *ile wówczas zapłacono za wszystkie obrazy ze zbiorów Biruli-Białynickiego.*

To stwierdzenie oddaje tylko finansowe następstwa ponownego, tym razem znacznie szerszego zainteresowania twórczością Witkacego. W ślad za renesansem jego dramatów i powieści poszło zainteresowanie malarstwem. W ostatnich latach słupskie twarze Witkacego wystawiane były w Muzeum van Gogha w Amsterdamie i w Livorno we Włoszech, gdzie wystawie towarzyszyły sesje Witkacowskie i spektakl sztuki „Oni" z Jerzym Stuhrem w roli głównej. Można więc z całym przekonaniem powiedzieć, że była to dobra „Firma".

TOMASZ ŁAWECKI

Portret własny Stanisława Ignacego Witkiewicza

Pewnego razu...

Surowy język dokumentów wojskowych

„Anglia oczekuje, że każdy wypełni swój obowiązek!" – ten sztandarowy sygnał admirała Nelsona przed bitwą pod Trafalgarem jest uważany za wzór lakonizmu wojskowych rozkazów i instrukcji.

Przykłady lakonizmu dają również wodzowie rosyjscy. Np. generał-lejtnant Skobiew pisze w rozkazie z 21.12.1877 r.:

„Uprzedzam wszystkich, że w razie walki będzie wsparcie, ale zmiany – nigdy. Odwrotu i wycofywania nie ogłaszać i uprzedzić ludzi, że to oszustwo ze strony przeciwnika... Każdy żołnierz powinien wiedzieć dokąd i po co idzie – wtedy, jeśli oficerowie zostaną zabici, sens przedsięwzięcia nie zostanie zgubiony..."

Inny przykład: Kiedy w 1805 r. władze austriackie zatrzymały w Trieście 20 statków rosyjskich, admirał Sieniawin wszedł do portu trzema okrętami i fregatą i ustawił eskadrę pod bateriami miasta. Komendant Triestu poprosił admirała o oddalenie się na odległość strzału armatniego od twierdzy. Na to Sieniawin odpowiedział:

– Niech pan strzela, wtedy zobaczę gdzie padają pociski i gdzie będę musiał stanąć!

Horatio Nelson (29.09.1758–21.10.1805), admirał angielski. Od 12 roku życia służył w marynarce. W 1773 r. uczestniczył w wyprawie arktycznej. W 1793 r. został kapitanem, w walkach z Francuzami na Morzu Śródziemnym stracił oko. W 1797 r. został mianowany kontradmirałem. Koło Teneryfy poniósł porażkę i stracił prawą rękę. 1.08.1798 r. pokonał Napoleona pod Abukirem, za co został parem Anglii. W 1801 r. został wiceadmirałem zniszczył flotę duńską pod Kopenhagą, blokował Tulon. Zginął w chwili zwycięstwa nad flotą francuską pod Trafalgarem. (k)

TRZY Z JEDNEJ ULICY

Każdy mieszkaniec Sofii zna tę ulicę. Każdy sympatyk sportu w Bułgarii nieraz słyszał jej nazwę. I nie dlatego, że leży w centrum stolicy, czy jest znaczącą arterią. Na ulicy Momine Klisura urodziły się i wychowały trzy dziewczyny – Anelia, Iliana i Lilia. Dzieweczyny, które podbiły świat wdziękiem, sprawnością i grą, zdobywając wiele medali na mistrzostwach świata i Europy. ANELIA RALENKOWA, ILIANA RAJEWA i LILIA IGNATOWA – najlepsze w Bułgarii i czołowe w świecie gimnastyczki artystyczne.

Bułgarska specjalność

Gimnastyka artystyczna jest w Bułgarii popularniejsza od futbolu, bowiem w tym kraju ma ona wspaniałe tradycje i olbrzymie osiągnięcia. Niegdyś o najwyższe trofea walczyły z powodzeniem Maria Gigowa, Neszka Robewa. Dziś sukcesy tamtych kontynuują Anelia, Iliana, Lilia i kilka innych nieco mniej sławnych, ale równie młodych i utalentowanych gimnastyczek. Jak to się stało, że trzy czołowe zawodniczki świata pochodzą nie tylko z tego samego kraju i miasta, ale z tej samej ulicy, niemal z tego samego domu? Czy to tylko zadziwiający zbieg okoliczności? Historia sportu zna podobne Neszki Robewej, rozpoczęła się ich piękna kariera.

Droga do sławy

Gdy oglądamy występy w gimnastyce artystycznej, wydaje się, że to sport lekki, nie wymagający żmudnego i długiego treningu. Jest to oczywiście tylko złudzenie, bowiem droga do sławy w tej dyscyplinie jest równie ciężka co w innych, a może jeszcze trudniejsza. Anelia Ralenkowa miała siedem lat, gdy trafiła do klubu, a jej koleżanki były niewiele starsze. Początkowo trening miał charakter zabawy. Dziewczęta doskonaliły swą sprawność ogólną, uczyły się podstaw choreografii, tańczyły. Potem przyszedł czas na mozolną pracę w pocie czoła, aż do zniu- niej miejsca w reprezentacji Bułgarii. Ale nadeszły owocne czasy i dla najmłodszej z tej trójki.

Kto w Los Angeles?

Mistrzostwa świata w Monachium (1982) wspominać będzie Anelia Ralenkowa do końca życia. Nominację do drużyny przyjęła z radością i powiedziała sobie, że tę szansę wykorzystać musi. Podkład muzyczny jej arcytrudnych ćwiczeń stanowiły popularne melodie Gershwina i zespołu ABBA. Wśród rywalek – koleżanek z ekipy bułgarskiej, Irina Derjugina, Dalia Kutkajte i Irina Dewina z ZSRR, Daniela Bosanska z CSRS. Konkurencja była silna, ale w tych dniach nikt nie był w stanie zagrozić Ralenkowej. Okazała

Lilia Ignatowa (pierwsza z lewej), Anelia Ralenkowa (w środku) i Iliana Rajewa. Która z nich nie wystartuje w igrzyskach?

się bezkonkurencyjna w wieloboju, zdobywała medale w ćwiczeniach z poszczególnymi przyborami. W sumie wywalczyła pięć krążków, w tym dwa złote. Miała niespełna 17 lat... Z medalami wróciły także z Monachium Ignatowa oraz Rajewa, toteż można sobie wyobrazić, co działo się na ulicy Momine Klisura. Wszyscy mieszkańcy wybiegli z domów. Dziewczęta wielokrotnie fruwały do góry na ramionach sąsiadów. A najwyżej Anelia Ralenkowa.

Dziś wszystkie trzy marzą o Los Angeles. Kariera w tym sporcie trwa krótko i szansa występu olimpijskiego trafia się na ogół tylko raz. Marzą o udziale w igrzyskach'84, ale wiedzą, że nie pojadą tam wszystkie. Szkopuł w tym, iż w reprezentacji olimpijskiej są tylko dwa miejsca, a więc co najmniej jedna z nich odpadnie. Która? Trudno to dziś przewidzieć, bowiem każdą z nich stać na złoty medal. Awans do reprezentacji będzie zadaniem trudniejszym niż wywalczenie miejsca na olimpijskim podium.

TOMASZ TRZCIŃSKI
Fot. **archiwum**

przypadki. W erze Nadii Comaneci, wspaniałej gimnastyczki rumuńskiej, cała plejada najlepszych zawodniczek tego kraju pochodziła z Gheorgie Gheorghiu Dej. Z naszego podwórka można by wskazać chociażby przykład Dębicy – „Mekki" polskich zapasów, z której wywodzili się bracia Lipieniowie i wielu innych reprezentantów kraju.

Kiedy w 1970 roku pierwsza z wielkich gimnastyczek bułgarskich Maria Gigowa sięgnęła w Warnie po swój pierwszy tytuł absolutnej mistrzyni świata, dziewczęta w Bułgarii porzuciły dotychczasowe gry i zabawy. Zaczęły masowo naśladować ćwiczenia Marii i jej konkurentek, bawiły się piłką, przyrządami przypominającymi maczugi, skakanką, obręczą. Na ulicy Momine Klisura w Sofii każdy wolny placyk był zajęty przez dziewczynki, które rywalizowały ze sobą w podwórkowych zawodach. Były wśród nich Iliana, Lilia i Anelia, które już wtedy wyróżniały się sprawnością. Niemal jednocześnie zapisały się do szkółki w klubie „Lewski – Spartak", gdzie pod kierunkiem znakomitych fachowców, między innymi byłej mistrzyni

dzenia. Setki razy trzeba powtarzać jeden element programu, jedno ćwiczenie, by potem, podczas zawodów, występ był udany. W gimnastyce artystycznej ćwiczy się z przyborami, a jest ich cztery: skakanka, obręcz, piłka i maczugi. Opanowanie tych ćwiczeń, których precyzja graniczy ze sztuką cyrkową, to lata treningu, dzień w dzień po kilka godzin. Tyle pracowały i pracują nadal trzy dziewczyny z ulicy Momine Klisura, a sukcesy jednej dopingują dwie pozostałe. Anelia, Lilia i Iliana są przyjaciółkami, ale na planszy rywalizują ze sobą ze zdwojoną energią. Efekty przeszły oczekiwania.

Pierwsza wypłynęła na szerokie wody najstarsza Iliana Rajewa na mistrzostwach świata w Londynie (1979) i mistrzostwach Europy w Amsterdamie (1980). Anelia Ralenkowa była wówczas rezerwą i mogła tylko przyglądać się z boku jak ćwiczą Rajewa i Ignatowa, zazdrościć im oklasków zachwyconej publiczności. Z Amsterdamu Rajewa przywiozła cztery złote medale, Ignatowa – dwa. Dorobek Ralenkowej był natomiast wciąż niemal zerowy. W tak silnej konkurencji zabrakło dla

W izytacja. Kto był na obozie, odczuje dreszcz grozy, jaki niesie z sobą to słowo, straszne jak bibilijne ostrzeżenie wypisane niewidzialną ręką na ścianie podczas uczty babilońskiego króla Baltazara... Tego dnia nawet obożny nie panoszy się jak zwykle, lecz stąpa cichutko na paluszkach, omijając szerokim łukiem namiot komendy, w którym trwa sąd nad komendantem i kwatermistrzem. Blady strach pada na instruktorów. Sceniczny szeptem, gorączkowo przekazują oni podwładnym ostatnie instrukcje – jak się zachowywać, co mówić... „Od ognia, wody, moru i wizytacji zachowaj nas dobry duchu puszczy..." – wzdychał co rano pewien mój znajomy komendant obozu.

A przecież można inaczej. Jeśli wizytatorzy zajeżdżają służbowym samochodem i w majestacie swych nieskazitelnych mundurów instruktorskich, z władczymi minami spadają jak sępy tropić błędy w rachunkach i przeoczenia w książce pracy obozu, jest rzeczą naturalną, że traktuje się ich z mieszaniną lęku i niechęci – jak emisariuszy nieprzyjaznego mocarstwa. Co innego, jeśli wizytator jest po prostu druhem, bratem – harcerzem...

W czasie tegorocznej wędrówki po obozach harcerskich na Mazurach spotkałem taką właśnie „braterską" grupę wizytującą. I dalej powędrowałem wraz z nimi.

„Jak to miło wędrować z plecakiem"

Druh harcmistrz Jerzy Bukowski, komendant krakowskiego szczepu „Żurawi" znalazł się na Mazurach z oficjalną misją jako szef zespołu wizytującego obozy hufca Kraków–Krowodrza. Nie przeszkodziło mu to jednak w prawdziwie harcerskim wędrowaniu po pięknej krainie jezior i lasów. W polowych mundurach, z plecakami i mapą „grupa wizytatorów" rozpoczęła swoisty obóz wędrowny. Miejsca noclegowe mieli dane z góry – po prostu w rozlokowanych w okolicy obozach drużyn i szczepów swojego hufca – trasy mogli sobie wybierać sami. Jurek z pewnością nie zgodziłby się, aby go podwożono służbowym samochodem – „wszyscy harcerze wędrują z plecakami, a my co, gorsi? Nie harcerze?" I nie ma tu nic do rzeczy fakt, że „w cywilu" Jurek jest doktorem filozofii, bo w lesie i nad jeziorem tytuły naukowe się na szczęście nie liczą. Nawet te „galicyjskie"...

Tu druh Bukowski jest harcmistrzem i harcerzem orlim. Starcza, zwłaszcza że na oba te stopnie rzetelnie zapracował.

Ciuchcią bliżej

No więc – jak się wędruje z wizytacją? Otóż – najróżniej. Może się trafić taka gratka, jak harcerski samochód dostawczy, który przy okazji przywożenia chleba i ziemniaków podrzuci też po drodze towar nie psujący się, druhów wizytatorów. Gratka to nieczęsta, bo mało który obóz drużyny czy szczepu dysponuje dziś własnymi czterema kółkami, a jeśli nawet, są one zwykle w fatalnym stanie technicznym. To znaczy nie kółka oczywiście, lecz to, co nad nimi: rama, silnik, karoseria, słowem samochód.

„Starsi koledzy" zaproszeni do kręgu w obozie „Słonecznych Dróg"

Wędrówki z wizytacją

CIUCHCIĄ, ŁAZIKIEM, PIESZO...

Ot, na przykład terenowy gaz „Słonecznych Dróg". Jurek opowiada, że gdy był jeszcze zuchem pokazywano mu stary, wysłużony samochód szczepu. Tenże sam grat obsługiwał tegoroczny obóz nad Jeziorem Rajgrodzkim. Już nie mówi się o nim „stary samochód", a krakowiacy szanują zabytki.

Pozostaje więc korzystanie z usług PKP. O jakości tych usług zwłaszcza w letnim „szczycie przewozowym" – pisać nie muszę. No, chyba że pojedziemy po wąskim torze... Ciuchcia z Ełku przejęła najlepsze tradycje kolei warszawsko-wiedeńskiej: jeździ powoli, ale solidnie i punktualnie. Wysiadamy w Zawadach-Tworkach, stąd już blisko do obozu nad Jeziorem Rajgrodzkim. Dalej najpopularniejszym harcerskim środkiem lokomocji – pieszo. Przez ostatnie dwa dni panowały nieprzyzwoite upały, więc oczywiście teraz, na ironię, gdy mamy do przejścia kilka kilometrów przez las, zrywa się burza i ulewny deszcz. Nic to. Tym sposobem mamy z głowy wieczorne mycie, a wizytator też człowiek i nie lubi myć się po ciemku w zimnej, mulistej wodzie. I harcmistrz też człowiek, ma prawo na przykład... bać się raków, choć groziłoby mu to niezaliczeniem „próby odwagi" w obozie szczepu drużyn lotniczych. Wszyscy nowicjusze przechodzili tu próbę polegającą na (brr) przekładaniu żywych raków z jednego wiaderka do drugiego, gołą ręką, rzecz jasna!

Ciuchcią bliżej

Raki, węgorze i „paskuda"

Raków w Jeziorze Rajgrodzkim sporo. Ba! – nie tylko raków. Harcerki z obozującego w sąsiedztwie „Słonecznych Dróg" szczepu „Wągabunda" wyłowiły ponoć paskudę, tę samą, która jeszcze niedawno straszyła w Zalewie Zegrzyńskim, o czym donosił obszernie „Express Wieczorny". Trofeum wisi teraz na drzewach nad placem apelowym i prezentuje się nader okazale. Podobno ma odnóża długości ośmiu metrów. Co prawda podejrzewam słowa o naturę zanadto „tekstylną", jak na mieszkańca wód (nie jestem pewien czy nie farbuje w praniu), ale dziewczęta ze szkoły odzieżowej twierdzą uparcie, że wyłowiły go z jeziora. Cóż, wypada wierzyć – „na słowie harcerza"...

A co tymczasem robią wizytatorzy? Po prostu uczestniczą w zwykłym codziennym życiu odwiedzanych obozów. Dzień obozowy „Słonecznych" kończy się znacznie wcześniej niż w sąsiednim obozie starszoharcerskim, więc druh Jurek mógł zasiąść w kręgu przy obu ogniskach. Nikt nie wpadł na pomysł, żeby zaprosić go na „specjalną" kolację, choć zdarza się to niestety na wielu obozach, które próbują w ten sposób przebłagać srogich wizytatorów. Ale Jurek nosi na rękawie instruktorską lilijkę z wyszytą „dziesiątką" – symbolem przestrzegania wszystkich dziesięciu punktów Prawa Harcerskiego. Poczęstunek – proszę bardzo, ale harcerski. Prawo gościnności zobowiązuje do podzielenia się tym, co w kuchennych garach, obojętnie, czy goście są wizytatorami, dziennikarzami, czy po prostu wędrującymi harcerzami. Więc dostajemy u „Słonecznych" chleb z pasztetem, a nawet specjalną zupę gotowaną dzień i noc, jak czarodziejski wywar, w kociołku przed namiotem komendanta. Ba! – zdarzyło się też, że dostaliśmy po kawałku prawdziwego węgorza złowionego w jeziorze Święcajty koło Węgorzewa przez harcerzy ze szczepu „Hubalczyków"...

Wizytacja, czy wizyta starszego kolegi?

Specyfika harcerskiego wychowania polega na tym, że nie ma tu, jak w szkole, podziału na wychowawców i wychowywanych. Każdy instruktor jest oczywiście wychowawcą, ale i on ma obowiązek uczyć się wraz ze swymi podopiecznymi, a nawet niejednokrotnie uczyć się od nich. Fachowo nazywamy to „wzajemnością oddziaływania".

Fot. **autora**

DOKOŃCZENIE NA STR. 7

NASZE PTASIE UROCZYSKA!

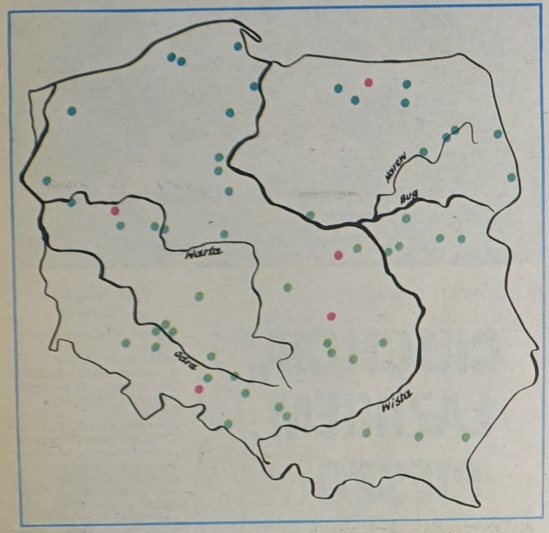

Tak w przybliżeniu rozrzucone są po kraju nasze konkursowe uroczyska – jedne bogate w gatunki, inne wręcz ubogie. Ale liczą się sygnały nadchodzące ze wszystkich, zwłaszcza tych najbardziej zagrożonych. Na mapce wyróżniono czerwonym kolorem uroczyska opisane przez autorów nagrodzonych w konkursie

Rys. **G. Klechniowska**

No i po konkursie... Zamknęła go tydzień temu praca o nie znanych prawie nikomu mazurskich zalewiskach (jako że wszyscy zauważają w tym regionie przede wszystkim jeziora). Autorem tej pracy był Stanisław Kit z miejscowości Sątopy-Samulewo. Choć tu ostatnia – praca ta właściwie była pierwsza, bo została przysłana najwcześniej. Ściśle mówiąc na długo przed ogłoszeniem konkursu – ot, jako zwyczajny list do Klubu Ptakolubów. Ten właśnie list nasunął nam myśl, by zorganizować konkurs, który dziś zamykamy (zresztą – jak się dalej okaże – nie całkiem!). Gdy już runęły na nas listy od konkursowych autorów – okazało się, że praca Staszka nie przepadła w konkurencji z nimi, toteż – jako sprawczyni tej małej burzy w Klubie Ptakolubów – mogła być nagrodzona i wydrukowana.

Gdy zaś o konkurencję idzie, to była ona duża. Po prostu nadeszło wiele prac na poziomie zbliżonym do tego, jaki prezentowały te, które zdecydowaliśmy się nagrodzić. Z wyborem mieliśmy wyjątkowo twardy orzech do zgryzienia. Niektóre nie nagrodzone prace aż proszą się o zaprezentowanie. Będziemy więc je cytować przy każdej okazji. Rozważamy też możliwość drukowania niektórych w całości.

A dziś drukujemy pełną listę ptasich uroczysk, jakie odkryli bądź penetrowali uczestnicy konkursu. Pomijamy tylko te, które już w poprzednich numerach przedstawili nam nagrodzeni autorzy. Uroczyska opisujemy tu w jak najzwięźlejszych słowach. Jak widać – wśród terenów obserwacyjnych naszych ornitologów królują środowiska wodne, a już zdecydowanie – stawy rybne. Nic dziwnego. Takie biotopy przyciągają wyjątkowo dużo ptaków, a te z kolei – ptakolubów, zwłaszcza, że tu najłatwiej ptaki obserwować. Ale niektórzy penetrują – i bardzo dobrze – zupełnie zwykłe skrawki ziemi (pola, łąki, ugory), a bogatą ornitofaunę znajdują nawet wśród fabrycznych ścieków. Większość uczestników konkursu znalazła swoje uroczyska blisko domu, jakby idąc za głosem naszej zachęty sprzed paru miesięcy.

Pocieszą fakt, że wielu piszących do nas zna i zauważa nie tylko ptaki, ale i innych przedstawicieli fauny i flory. Niektórzy dobrze rozróżniają rozmaite typy środowisk i zauważają trafnie ich charakterystyczne składniki. Nikt, kto poważniej myśli o ornitologii, nie może się bez tego obyć.

Cieszy też, że nikt spośród piszących nie wysilał się na jakieś bujne, pseudoliterackie opisy przyrody, przepełnione nadmiarem westchnień. Pisaliście prawie zawsze konkretnie i treściwie. Nie zawsze szło to w parze ze zwięzłością. Wielu prac zasługujących na prezentację nie mogliśmy przedstawić tylko dlatego, że wielokrotnie przekroczyły dopuszczalną normę objętości. Jeden z uczestników nadesłał... cały zapisany zeszyt, a w nim ciekawe i konkretne dane, do tego o interesującym, bagiennym zakątku naszego kraju. Skrócenie tej pracy odbiłoby się na niej zbyt boleśnie. To samo dotyczy obszernych prac złożonych z samych danych liczbowych (daty wędrówek i lęgów, oceny liczebności) czy wykazów gatunków. Zbyt obszerne prace tego typu trudno zresztą drukować w gazecie, i to w jej numerach wakacyjnych. Co nie zmienia faktu, że dane są wartościowe, a trud obserwatora godzien uznania. Tymi zestawieniami będę się starał zainteresować fachowców, poszukiwanych młodych i skrupulatnych współpracowników.

Trochę gorzej było z ilustracjami. Wielu z Was przysłało zdjęcia. Ba, byli i tacy, którzy dostarczali nam bodaj cały fotograficzny dorobek swego życia! Większość tych zdjęć śmiało można uznać za cenne dokumenty. Niestety – gorzej z ich techniką. Przeważająca część nie nadawała się wymogom jakie stawia drukarnia, toteż z ich pokazaniem musieliśmy zrezygnować. Ta decyzja nie zdziwiła mnie zbytnio. Rozumiem dobrych zdjęć przyrodniczych – a już zwłaszcza krajobrazowych właśnie! – wymaga sporej praktyki, a tymczasem do nas piszą najczęściej obserwatorzy początkujący. Uważam jednak, że nawet nie władając dobrze techniką, warto robić takie fotki, dokumentalne dzisiejszy wygląd różnych przyrodniczych zakątków. W ten sposób utrwala się wiadomości o czymś, co zwykle jakże szybko przemija...

Nieco podobnie było z rysunkami, a zwłaszcza mapkami. Mają niezaprzeczalną wartość dokumentów, ułatwiały nam zrozumienie, o jakie uroczysko chodzi, aby gorzej z techniką...

Konkurs wskazał nam więc, czym jeszcze w klubie musimy się zająć (fotografia, graficzny zapis obserwacji). Odrębny temat, który na nas czeka – to rysowanie ustroju ptaków i innych istot żywych. Konkurs dowiódł też, że jest klub dziesiąt miejsc w Polsce, którym nie spuszczają z oka młodzi przyrodnicy. No, a to co zeń wynika najwartościowszego – najlepiej to dać na mapce: że ptasie uroczyska potraficie znaleźć wszędzie i wszędzie obserwować ptaki – na lesie tych pojezierzach i na zadymionym Śląsku. Myśl to zresztą w naszych klubach spotkaniach nienowa...

Teksty i zdjęcia
TOMASZ KŁOSOWSKI

Gdzie obserwują ptakoluby czyli LISTA UROCZYSK

Autor pracy	Krótko o uroczysku
1. **Jarosław Banach** Kielce	Podmokły obszar porośnięty bujną roślinnością niemal w środku Kielc
2. **Mariusz Barwiński** Wrocław	Wilgotny obszar pocmentarny na skraju Wrocławia
3. **Michał Behnke** Gdynia	Las na terenie pagórkowatym w Trójmiejskim Parku Krajobrazowym
4. **Waldemar Błoński** Starachowice	Łąki i starorzecza rzeki Kamiennej k. Starachowic
5. **Marcin Chudy** Jamielnica k. Strzelc Opolskich	Stawy rybne w otoczeniu łąk i pól
6. **Bogdan Dudko** Ciśówka	Bagna, zalewiska i łąki nie opodal Puszczy Białowieskiej
7. **Wiesław Dutkowski** Łomża	Łąki nadnarwiańskie k. Łomży
8. **Harold Eisenbeis** Pyskowice	Las na skraju Pyskowic, kryjący stawy i mokradła
9. **Jacek Gaik** Brwinów k. Warszawy	Bagnisty las w otoczeniu zarośli i strumyków, mały staw
10. **Jan Gałka** Nowogard	Kompleks lasów iglastych i mieszanych w woj. szczecińskim
11. **Witold Garbaczewski** Bydgoszcz	Jezioro Kusowskie pod Bydgoszczą
12. **Anna Gasztych** Wrocław	Las na skraju Wrocławia-Leśnicy, bogate runo, źródełko
13. **Ryszard Gil** Stawiska k. Strzegomia	Obszar łąk uprawnych, pól, zagajników i lasu
14. **Romuald Gwardys** Warszawa	Stawy w Rudzie k. Mińska Maz.
15. **Ilona Habryka** Mysłowice	Leśna uliczka na skraju Mysłowic
16. **Samanta Jankowska** Gdynia	Staw z wyspą w Borach Tucholskich
17. **Tadeusz Jaros** Szubsk Duży, woj. płockie	Pięć stawów – jeden zarastający
18. **Wojciech Jasielczuk** Czepiele k. Kuźnicy Białostockiej	Łąki torfowe nad niewielką rzeczką
19. **Piotr Klukiewicz** Giżycko	Zbiornik wodny pod Giżyckiem
20. **Paweł Kmieć** Korzybie, woj. słupskie	Jezioro Łętowskie, las, łąka i zarastające jeziorko
21. **Grzegorz Kosowski** Zagórze k. Chrzanowa	Kompleks leśny, urozmaicony polanami i stawami
22. **Rafał Krasienko** Kamionna k. Łochowa	Staw, obfitujący w szuwary
23. **Paweł Krzemiński** Tarnów	Koryto Dunajca między Zgłobicami a Mikołajowicami, przyległe starorzecza i obszary podmokłe
24. **Tomasz Kosicki** Karczew k. Otwocka	Las sosnowy, urozmaicony polanami niedaleko rezerwatu „Torfy"
25. **Przemysław Kunysz** Przemyśl	Duży kompleks stawów (największy staw – 100 ha)
26. **Andrzej Lis** Poznań	Jezioro koło Lubniewic, niedaleko Gorzowa Wlkp.
27. **Jarosław Malinowski** Wierzbowo k. Grajewa	Rozlewiska Biebrzy pod Osowcem
28. **Rufin Marysiok** Kielcza, woj. opolskie	Śródleśny staw „Koło", otoczony bagnami
29. **Piotr Michalik** Żywocice, woj. opolskie	Zarastający staw nad Odrą i fragment brzegu tej rzeki
30. **Jacek Neumann** Brzoza k. Bydgoszczy	Starorzecze Noteci w pobliżu Bydgoszczy
31. **Tomasz Niedziela** Ostrów Wlkp.	Łąki nad Baryczą koło Przygodzic
32. **Mirosław Noga** Kurzelów, woj. kieleckie	Bagno „Białe Ługi" w Niecce Włoszczowskiej
33. **Wojciech Łada** Tczew	Trzy zarastające stawy koło Tczewa
34. **Adam Pleskaczyński** Poznań	23 jeziora, 3 parki i podmokła łąka w otoczeniu pól w Luboniu na skraju Poznania
35. **Cezary Pióro** Siedlce	Kompleks stawów rybnych na peryferiach Siedlec
36. **Zbigniew Rabian** Łagiewniki, woj. wrocławskie	Doły, odbierające ścieki z cukrowni (!)
37. **Wojciech Samujła** Dobre Miasto	Jezioro Limajno z malowniczym półwyspem
38. **Artur Sawicki** Słupsk	Kompleks stawków wśród lasu w woj. słupskim
39. **Andrzej Stańczyk** Krasocin, woj. kieleckie	Zagajniki i łąki urozmaicone jeziorkami
40. **Józef Staszak** Przyjma, woj. konińskie	4 ha wiejskiego krajobrazu (pola, łąki, sad, sadzawka, rów)
41. **Przemysław Stefański** Inowrocław	Duży park ze stawem, łąki i pastwiska k. Inowrocławia
42. **Grzegorz Surlas** Dębno Lubuskie	Rozległe trzcinowiska, stawy i pomnikowe drzewa koło wsi Barnówko
43. **Tomasz Szlagor** Wrocław	Bujny las mieszany kryjący stawek, a położony pod Wrocławiem między korytami Odry a Oławy
44. **Dariusz Szyra** Wodzisław Śl.	Kilkanaście stawów rybnych, podmokłe łąki, las, fragment doliny Odry
45. **Paweł Ulaniuk** Frankowo, woj. olsztyńskie	Łąka okresami zalewana, pastwisko ze stawem i zagajnikiem
46. **Wiesław Wiercigroch** Łosice	Lasy: Łosicki i Chotycki, urozmaicone jeziorkami, oraz stawy
47. **Leszek Węgłowski** Żebrak, woj. siedleckie	Jezioro Łuknajno
48. **Karol Zub** Mońki	Bagna Biebrzańskie
49. **Jarosław Żmuda** Pabianice	Żwirownia w pobliżu jeziora i lasu, niedaleko osiedla

Zadania na wrzesień

1. Mamy pełnię przełotów. Zachęcamy do obserwowania wszelkich przejawów tego wędrowania i nadsyłania relacji. Zaś najbardziej interesują nas dane o zaobserwowanych stadach ptaków drapieżnych i pojedynczych ptakach zresztą też). A także – w związku z ogłoszonym wcześniej zadaniem – o wędrówkach **żurawi**. Interesują nas wiadomości o liczebności przelatujących kluczy, o kierunku i porze przelotu, a zwłaszcza – o miejscach gromadzenia się stad na łąkach i polach. Znaleźć je często nie łatwo, ale trud opłaca się, bo żurawie mają zazwyczaj stałe punkty postojowe i po ich wykryciu efektowne ptaki można tu spotykać latami.

2. Okres lęgowy i wakacje skończone, czas uporządkować notatki terenowe z tego okresu. Jeżeli są w rozsypce, na luźnych kartkach – to trzeba je zebrać w zszywkę czy wkleić do starego zeszytu, porządkując przy tym chronologicznie. Te oryginalnych notatek terenowych lepiej niczego nie dopisywać. Kto prowadzi kronikę z pamięci, zapisując zdarzenia po pewnym czasie – a jest to gorsza metoda – powinien niezwłocznie przystąpić do jej sporządzenia. Czekamy na nadesłane fragmenty.

3. Kto zamierza zimą intensywnie dokarmiać ptaki – niech już zacznie gromadzić zapasy w postaci nasion, zwłaszcza oleistych.

CIUCHCIĄ, ŁAZIKIEM PIESZO

DOKOŃCZENIE ZE STR. 5

Podobnie działa harcerski wizytator. Oczywiście myślę o tych, którzy jak druh Jurek Bukowski właściwie rozumieją ideę harcowania, bo „urzędnik instytucji" i na obozie pozostanie biurokratą, wpatrzonym tylko w papierki. Harcerska wizytacja powinna być po prostu wizytą starszego, bardziej doświadczonego kolegi, który ma pomóc w rozwiązaniu ewentualnych problemów, poradzić, a tylko przy okazji sprawdzić jak dany zespół harcerski radzi sobie na swoim obozie. Właśnie „na swoim". Dla drużyny bowiem lepszą szkołą życia jest obóz słaby, ale od początku do końca własny, niż najlepsza nawet impreza, na której jest się tylko gościem.

Wędrując z grupą wizytującą hufca Krowodrza odwiedziłem kilka obozów. Były wśród nich dobre, bardzo dobre i takie sobie – jak zwykle. Ale wszędzie czuło się, że przybywają swoi do swoich i to jest najważniejsze!

PAWEŁ WIECZOREK

Zawdzięcza życie delfinom

(PAP). Jak podała prasa indonezyjska, pilot śmigłowca wojskowego, którego nazwiska nie podano, zawdzięcza uratowanie życia – delfinom.

Otóż jego śmigłowiec uległ awarii nad Morzem Jawajskim. Awaria nie była gwałtowna, tak, że pilot mógł posłużyć się małą, automatycznie napełniającą się powietrzem łódeczką. Nie widział jednakże żadnych szans, aby na tej łupince dopłynąć do brzegu.

Wówczas zauważył, że wokół zaczęły się gromadzić delfiny. Na zmianę przez 8 dni i nocy popychały łódeczkę w określonym kierunku, aż doprowadziły ją do lądu.

Delfiny odpłynęły, pilot wygramolił się na ląd, gdzie został znaleziony i przeniesiony do szpitala. **(kl)**

„Renoks" oczyszcza atmosferę

PRAGA (PAP). Związki azotu, zaliczane do najbardziej groźnych dla zdrowia człowieka i otaczającego środowiska, są przede wszystkim odpadami przemysłu chemicznego. Specjaliści z Instytutu Chemii Nieorganicznej Czechosłowackiej Akademii Nauk i Naukowo-Badawczego Instytutu Chemicznej Aparatury w Pradze opracowali nową metodę odzyskiwania tych gazów. Związki azotu, zawarte w gazach uchodzących z instalacji do syntezy kwasu azotowego, reagują w obecności specjalnego katalizatora z tlenem zawartym w powietrzu i dodawanym do aparatury amoniakiem. W rezultacie otrzymuje się absolutnie nieszkodliwą mieszaninę podstawowego azotu z parami wody. Urządzenie nazwane „Renoks" łatwo montuje się w zakładach kwasu azotowego, nie naruszając przemysłowego procesu. Likwiduje ono 90 proc. szkodliwych gazów. **(jo)**

„07 zgłoś się" wróci na szklany ekran

KRAKÓW (PAP). Już jesienią rozpoczęta zostanie realizacja serialu o nowych przygodach poruczника MO Sławomira Borewicza. Będzie on tropił zbrodniczego wampira, wyjaśniał tajemnice wielkiej afery gospodarczej i ścigał wynajętego zagranicznego mordercę. Ponoć nadal pozostanie w stanie bezżennym i w tym samym stopniu służbowym.

Reżyser i scenarzysta filmu ukończył już pisanie pięciu z dwunastu zaplanowanych odcinków. W roli głównej nadal krakowski dziennikarz telewizyjny – Bronisław Cieślak. **(eb)**

KOMPUTER – LEKARZ

ZSRR (PAI). W przychodni specjalistycznej przy fabryce samochodów „Kommunar" w Zaporożu niezawodnym pomocnikiem lekarza jest komputer. Po wprowadzeniu doń podstawowych danych pacjenta, na ekranie pojawiają się typowe pytania zadawane zwykle przez internistę, chirurga czy neuropatologa. Badany odpowiada na nie „tak" lub „nie" poprzez naciśnięcie odpowiedniego klawisza. Na podstawie posiadanej wiedzy komputer analizuje odpowiedzi chorego i przedstawia lekarzowi warianty wstępnego rozpoznania. **(jo)**

„Leżę na plaży i myślę: nikt jeszcze nie narysował twojej podobizny, Rzepie jako tancerza. Robię to ja..." Oto fragment listu **Iwony Grejnert**, która narysowała Rzepinkę i mnie w tańcu klasycznym. Przyjmuję Iwonę do Rzepklubu!

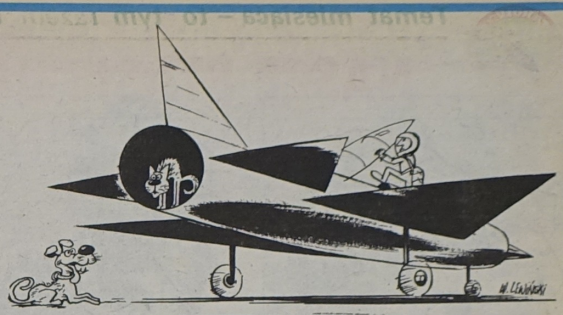

Redaguje
WŁODZIMIERZ LEWIŃSKI

Cześć!

Nieubłaganie zbliża się koniec wakacji... *Tempus fugit* – jak mawiali starożytni Rzymianie, czyli czas pędzi jak pociąg pospieszny, który wiezie nas z Zakopanego do domu. Kto właściwie wynalazł CZAS? Po co? Żeby zatruć ludziom życie? Taki pies: nie zna tego zjawiska, nie nosi zegarka i spieszy się tylko przy łapaniu pcheł. Dla psa nic nie płynie, nie przemija... Pewnie dlatego pies umie się naprawdę cieszyć.

Dość melancholii. Oto garść nadesłanych anegdotek:

– Cześć stary! No, jak tam twoja nowa praca?

– Kiepsko. Muszę pracować za dwóch. Całe szczęście, że jest nas do tego czterech...

★

Korespondencja własna ze Szkocji:

To nieprawda, że w tutejszych książkach kucharskich przepisy zaczynają się od słów: „Pożycz od sąsiada jajko..."

★

– Mówiła mi Hanka, że powiedziałaś jej o tym, o czym mówiłam ci wczoraj. A przecież tak cię prosiłam, żebyś jej nie mówiła!

– A to wstrętna plotkara! Prosiłam ją, żeby ci nie mówiła, że jej to powiedziałam!

– No, trudno. Ale nie mów jej, jak ją spotkasz, że ci powiedziałam, że ona mi mówiła...

★

Anegdotki nadesłali: **Katarzyna Davis, Radosław Mroczek** i **Mirosław Ryszka**. Zapisuję wszystkich do Rzepklubu.

Do zobaczenia!
Wasz **Rzep**

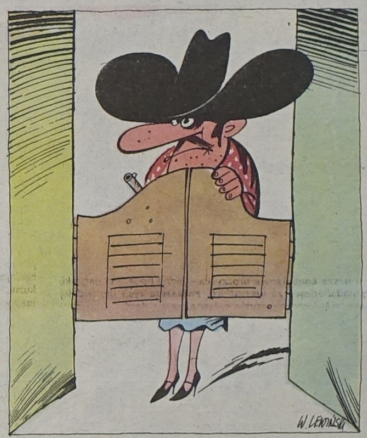

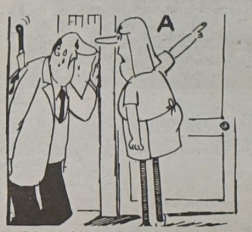

— Jeżeli to jest wypadek nagły, to najpierw proszę się zgłosić do wejścia „B" w przeciwległym skrzydle budynku...

RZEPKLUB

Zamieszczone obok żarty rysunkowe wyszperali dla Was: **Ewa Tamborek, Marian** i **Bogdan Masłowscy** oraz **Sebastian Kozłowski**. Wszystkich zapisuję do klubu.

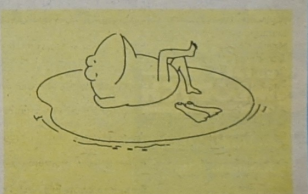

się w piasku pustynnym". Nazajutrz kazałem zawrócić i spełniłem wolę zmarłego.

– I słusznie uczyniłeś – pochwalił go starzec, nazwany przez Dżamala Abdelazizem.

– A może to był ghul, który chciał cię sprowadzić z drogi, żeby cię zabić i pożreć? – zapytał inny Arab. – Wiadomo przecież, że ghule żywią się trupami, mógł więc, nasyciwszy się tamtą karawaną, przyjść po ciebie.

– Skądże, czcigodny Kalebie! Ghule zjawiają się zwykle pod postacią kobiet, a spłodzone są przez szatana z niewiastą zrodzoną z ognia i wyłegają się z jaj. Zresztą gdy tylko pochowałem jak należy tamtych, nic mi się złego nie stało i nocę miałem spokojne.

– Myślę, że był to raczej ifrit – stwierdził z powagą Abdelaziz. – Dusza człowieka, który zginął nagłą śmiercią i nie został pochowany.

Wdali się w długą dyskusję o dżinnach, które mogą przybierać różne postacie, zwłaszcza na pustyni. Dżamal przestał tłumaczyć: przerastało to jego znajomość francuszczyzny.

– Czy oni naprawdę wierzą w te duchy? – zapytał Daniel.

– Nikt nie może przysiąc, że nie istnieją. Ale mało kto jest pewien ich istnienia. Na wszelki wypadek lepiej im się nie narażać.

– A co mówi na ten temat Koran?

– Zapytaj o to imama.

– Zdawało mi się, że znasz cały Koran na pamięć.

– Znałem. Ale gdy po śmierci ojca musiałem pasać kozy, święte słowa zaczęły się zacierać w mojej pamięci. Jedno wiem: że istnieje pięć kategorii czynów: obowiązkowe, zalecane, dozwolone, naganne i zabronione. Dopiero na tamtym świecie człowiek otrzymuje za swe czyny karę lub nagrodę.

– Chciałbyś się uczyć?

– Kto by nie chciał? Mówiono kiedyś, że Allach obdarzył mnie wielkimi zdolnościami: pamięcią, łatwością pięknego wysławiania, muzykalnością, ułożeniem ręki do kreślenia liter i wersetów Koranu... W szkole publicznej byłem najlepszy w matematyce i francuskim. Pasienie kóz, aczkolwiek sprzyja rozmyślaniom, oddala człowieka od prawdziwej wiedzy...

Mówił to z zabawną powagą, ale ze słów jego przebijał szczery żal za innym życiem.

– Może w Algierze uda się coś dla ciebie zrobić, żebyś mógł tam zostać i chodzić do szkoły – powiedział Daniel myśląc o Romku, który chyba nie odmówiłby mu pomocy. Dżamal tylko westchnął. Nagle twarz jego poweselała.

– Spójrz, już rozpalili ognisko!

Mężczyźni też to spostrzegli, przerwali rozmowę o dżinnach i bez pośpiechu, z godnością ruszyli w kierunku ognia. Po przeciwnej stronie obozu, już na skraju pustyni, rozniecono inny ogień.

– Rozgrzewają nad nim bębny, żeby skóra zmiękła i wydawała ton bardziej dźwięczny, bardziej doniosły – objaśnił Dżamal. – Niedługo zaczną się tańce. Niech tylko się ściemni.

– Chciałbym je zobaczyć.

– O, nie, to niemożliwe! Dziewczęta muszą pozostać same. Tylko niewiastom wolno na nie patrzeć.

Zapach pieczonego mięsa pobudzał apetyt. Po skąpym śniadaniu i całodniowym poście Daniel był piekielnie głodny. Czekał niecierpliwie na zapowiedzianą ucztę.

Ahmed opowiadał o przygodach, jakie stały się udziałem jego karawany podczas ostatniego transportu soli do Sudanu. W pewnej chwili – jakby chcąc uhonorować Daniela – rzucił w jego stronę po francusku:

– W jednym tylko roku wielka azalaj, czyli karawana, która wyruszyła z Biskry, przewiozła na trzydziestu tysiącach wielbłądów aż dwa tysiące pięćset ton soli. Przeciętnie każdego roku karawany wywożą z Sahary sól wartości pół miliona dolarów, dostarczając za to mąkę, zboże i orzeszki ziemne.

– Czy nie łatwiej byłoby przewozić je ciężarówkami?

– Na północy tak. Ale gdybyś widział, jak jest na południu Sahary... Tam gdzie góry, skały, piasek i brak wody... Gdzie raz po raz zrywają się wichry i burze... Tam tylko wielbłąd jest pewnym środkiem transportu. Maszyny psują się, piasek niszczy wszystko...

Cdn.

NIE SZUKAM ZEMSTY ! (9)

STRESZCZENIE: Straszne były skutki niespodziewanego ataku Indian na kolibę osadników. Czerwonoskórzy mszczą się na wszystkich białych za zamykanie w rezerwatach, odbieranie gruntów. Giną rodzice Jima i wszyscy żołnierze z patrolu. Pożar trawi doszczętnie kolibę i całe osadnicze obejście...

ŚWIAT MŁODYCH

Ukazuje się we WTORKI, CZWARTKI i SOBOTY

Nr indeksu 35046

PL ISSN 0137-9321

ADRES REDAKCJI: ul. Mokotowska 24, 00-561 Warszawa.
ADRES ODDZIAŁU: ul. Rynek 13, 40-003 Katowice (tel. 53-77-33 telex 0315569).
TELEFONY: Red. naczelny 21-15-61, sekr. redakcji 28-25-48. Dział Łączności z Czytelnikami – 21-81-13 (czynny w godz. 11–15).
TELEX 81-35-59.
REDAGUJE KOLEGIUM: Stanisław Borowiecki (redaktor naczelny), Jerzy Dąbrowski, Ewa Grobelny (zastępca red. naczelnego), Maria Jaworska, Teresa Maciszewska, Zdzisław Przybyłowski, Barbara Skórska, Grażyna Szmodzer-Bukowska (zastępca sekr. red.), Wojciech Wróblewski (sekretarz redakcji).
Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca.
WYDAWCA RSW „Prasa-Książka-Ruch" Młodzieżowa Agencja Wydawnicza 00-664 Warszawa, ul. Koszykowa 6A.
Telefony: Dyrektor 28-09-73 Dział Wydawniczy 29-35-52
Opracowanie graficzne: Grażyna Klechniowska
Opracowanie techniczne: Bogumiła Szczupakowska
Korekta: Barbara Wasilewska
Nakł. 500 000
DRUK: Zakłady Graficzne Dom Słowa Polskiego
Nr zam. 3202/G M-74

NIE ZAPOMNIJ OTO NASZ POCZTOWY

00-561

UŚMIECH NUMERU

– WYOBRAŻ SOBIE, kiedy rano idę ulicą do pracy, wszyscy za mój widok chwytają się za guziki! – chwali się koledze kominiarz.

– To wszystko głupstwo! W moim zakładzie wszyscy od rana za mój widok chwytają się za głowę!

*

SĄSIADKA chwali się znajomej:

– Nasz Pawełek przyniósł dziś ze szkoły po raz pierwszy piątkę!

– Gratuluję! A w której jest klasie?

– W siódmej!

Podjechali kłusem do starszyzny, osadzili konie w miejscu, zwinnie zeskoczyli, zaczęły się powitania. Daniel widział z daleka, jak na znak pana młodego jeden z jeźdźców podał spore zawiniątko. Ahmed wręczył je ojcu Dżundii, który przy wszystkich oglądał podarki, kiwał głową, rozpływał się w uśmiechach i podziękowaniach. Szerokim gestem zaprosił mężczyzn do swojego namiotu. Nad ledwo żarzącym się ogniskiem wisiał na trójnogu kociołek ze smakowicie pachnącym jadłem. Gospodyni wraz z córkami jakby zapadła się pod ziemię. Jadła pilnował chłopak w wieku Dżamala. Ojciec panny młodej sam zaczął częstować gości.

– Nas jeszcze nie zaproszą – westchnął Dżamal. – Dopiero wieczorem... Chodźmy popatrzeć, już przyrządzają barana.

Byli chyba ostatnimi z gapiów, którzy przyszli zobaczyć, jak powieszono zabite zwierzę na wysokim drągu, jak ściągnięto skórę i rozpłatano mu brzuch. Dymiące świeżą krwią wnętrzności rzucono do misy, którą podstawiła stara kobieta w czarnym zawoju i kwiecistej szacie. Siwy, brodaty Arab pochylił się, kolejno ujął w dłoń serce, wątrobę, nerki, po czym zawyrokował, że wszystkie organa są zdrowe, co wróży dobrze młodej parze.

Kobieta chwyciła misę i podreptała z nią gdzieś między namioty.

– Będzie z tego kus-kus – szepnął Dżamal spoglądając na słońce, które stało jeszcze wysoko.

Natarto barana solą i czosnkiem, posypano jego wnętrze ziołami. Związano tylne nogi, związano przednie. Między supły wetknięto długi rożen i umocowano go na krzyżakach po dwóch stronach przygotowanego ogniska.

– Chodźmy teraz wręczyć upominek – zaproponował Dżamal.

Zastali mężczyzn przed namiotem. Siedzieli na ziemi syci, zadowoleni z siebie. Chłopak w imieniu Daniela wygłosił orację, którą starsi przyjęli z pewnym rozbawieniem. Ahmed podziękował po francusku. Zapytał, z jakiego kraju Daniel przybywa.

– Z Polski.

– Nie wiadomo, czy dokładnie wiedział, gdzie ten kraj leży, lecz stwierdził, że jest piękny, a mieszkańcy jego słyną z dzielności. Był to zapewne w jego pojęciu największy komplement,

Cepeliowska chusta została przyjęta z aplauzem. Obu chłopców zaproszono na pieczenie barana, po czym zwrócono do przerwanej rozmowy, nie zwracając na nich najmniejszej uwagi. Dżamal siadł w pewnej odległości, żeby się nie narzucać, ale żeby też słyszeć dokładnie, o czym mowa.

Ahmed opowiadał istotnie o czymś pasjonującym. Niedaleko In Salah natrafili na szczątki karawany, która musiała zginąć w burzy piaskowej. Wygrzebano z wydm czaszki i piszczele, kości ludzi i wielbłądów, strzępy tkanin i smętne resztki towarów. Należał się tym ludziom uczciwy pochówek, lecz Ahmed spieszył się bardzo, więc wygrzebano niegłęboki dół i wrzucono do niego pobielałe kości. Na noc zatrzymali się w karawanseraju, dobrze nawet utrzymanym, zasobnym w wodę i żywność dla ludzi i zwierząt. Ahmed z bratem spał w pokoiku obok stajni.

– I co powiecie? – mówił na tyle wolno, że jego słowa Dżamal mógł mniej więcej tłumaczyć Danielowi. – W nocy przyszedł do mnie przewodnik zasypanej karawany z czaszką pod pachą. Kaptur burnusa był pusty, w czasce oczodoły jarzyły się ogniem. Ostrzegał: „Jeśli mi nie sprawisz należytego pogrzebu, nim rok minie, twoje kości rozsypią

Dokończenie na str. 7